

Zimowa Śnieżka

Gdy tydzień wcześniej szedłem na Śnieżkę nie podejrzewałem, że już po kilku dniach będę ponownie podążał pod górę by dotrzeć na najwyższy szczyt Karkonoszy. A jednak. Mamy sobotę 13 stycznia 2018 roku. Jest 5 rano, wszędzie panują ciemności. Gdy wyjeżdżam z domu drogą przebiegają sarenki. Trzeba uważać by któreś nie potrącić. Droga jest bezpieczna, nie ma śniegu czy lodu. Szybko docieram w rejon dolnej stacji wyciągu na Kopę gdzie zostawiam samochód. Wygląda na to, że wszyscy jeszcze śpią. Chociaż przy kanapie słychać jakiś szum. To armatki śnieżne. Sypią sztucznym śniegiem poprawiając warunki na stoku. Narciarze będą się cieszyć.



Foto: Krzysztof Tęcza

Mijam nieczynny jeszcze punkt poboru opłat za wstęp do Karkonoskiego Parku Narodowego i po chwili słyszę jak śnieg skrzypi pod moimi butami. Ze względu na zalegającą mgłę wszystkie odgłosy z lasu odbieram bardzo wyraźnie. Czasami wydaje mi się, że to tuż obok, a tak naprawdę to złudzenie. Dzisiaj, w porównaniu do wyprawy z przed kilku dni droga jest znacznie lepsza. Spadło trochę świeżego śniegu, który zasypał lód, co pozwala bezpiecznie sunąć pod górę. Mimo ciemności widać wyraźnie białą wstęgę drogi. Pozwala to na marsz bez używania latarki. Nie ma takiej potrzeby.

Wkrótce docieram do Białego Jaru gdzie dokładnie 60 lat temu potężna lawina zabrała życie kilkunastu osób. Była to, jak dotąd, największa tragedia w naszych górach. Lawina to niesamowita siła. Zsuwający się po zboczu śnieg jest w stanie zmieść wszystko co napotka na swojej drodze. Nie można się temu skutecznie przeciwstawić. Wystarczy spojrzeć na zbocze poniżej miejsca, w którym stoję. Widać tam potężne bloki skalne ważące po 2 tony. To resztki wzniesionego tu pomnika. On też nie wytrzymał naporu śniegu. W roku obecnym pomnik ten zostanie wzniesiony na nowo. Jego forma będzie przypominać stary postument, jednak będzie znacznie skromniejsza. Chodzi właśnie o to by kolejna lawina nie porwała go ponownie.

Gdy dochodzę do górnej stacji wyciągu na Kopę widzę jak niebo nad zboczem zaczyna robić się różowe. To wstaje słońce. Niestety obłoki chmur co chwilę zasłaniają ten piękny widok. Nie zapowiada się to dobrze. Na Równi pod Śnieżką już wiem, że dalej nie będzie łatwo. Pnę się ostrożnie pod górę. Robi się coraz bardziej ślisko, wiatr nie tylko, że nagania chmury i mgłę, to jeszcze zaczyna

przeszkadzać w utrzymaniu się na nogach. Ludzi prawie nie widać. Dostłownie podczas całego podejścia na górę minąłem kilkanaście osób.

Wreszcie jestem na Śnieżce. A tu niespodzianka, mgła znika, wychodzi słońce i robi się całkiem przyjemnie. Ale to tylko na chwilę, zaraz wszystko wraca do normy, czyli jest nieciekawie. Ubranie zamarzło mi na blachę, jest tak sztywne, że z trudem można usiąść. Szybko robię kilka zdjęć i ruszam na dół. Okazuje się, że przez tych kilkadziesiąt minut, moje ślady zostały całkowicie zasypane kopnym śniegiem. Gdyby nie łańcuchy to przez mgłę nie wiedziałbym czy idę tam gdzie trzeba. Zaczynam ześlizgiwać się po białym puchu. Trzeba łąpać się łańcuchów. Po chwili nie widać ani zabudowań na szczycie Śnieżki ani schroniska poniżej. Gdy schodzę na Równię wiem, że najgorsze mam za sobą. Ponieważ jest wczesnie decyduję się iść okrężną drogą przez Strzechę Akademicką. Powoli zaczynają pojawiać się turyści. Wszak to wczesny ranek. Tuż przed schroniskiem widzę jak idący pod górę przystają patrząc w niebo. Zaciekawiony obracam się do tyłu. Nie wierzę w to co widać na niebie. Czegoś takiego, mimo tylu lat chodzenia po górach, jeszcze nie widziałem. Nad nami widnieją cztery tęcze. Dwie pary odwrócone o 180 stopni. Do tego biała kula słoneczna świecąca tak mocno, że nie sposób dłużej na nią patrzeć. Zjawisko to znane jest jako „Halo”. Spowodowane jest to załamaniem światła. Właściwie dopiero teraz widzę, że z nieba spadają drobinki lodowe mieniające się kolorami tęczy.



Foto: Krzysztof Tęcza

Tak jak wszyscy wyciągam ukryty przed zimnem telefon (niestety tym razem nie wziąłem ze sobą aparatu fotograficznego), a tu okazuje się, że mimo, iż niosłem go w kieszeni kurtki, jest on pokryty cienką warstwą lodu. Zaczynam go rozmrażać mając na uwadze, że tak piękne zjawisko nie będzie trwać wiecznie. W końcu udaje mi się zrobić kilka zdjęć. Niestety zaraz urządzenie pada i mogę tylko sobie patrzeć. Przy schronisku ustawił się szpaler ludzi chcących uwiecznić to co widzą. Niektórych z nich spotkało to samo co mnie. Okazuje się bowiem, że wiejący wiatr spotęgował zimno do tego stopnia, że zimno odczuwalne było znacznie większe niż można się było tego spodziewać. Nie pozostało mi nic innego jak ruszyć drogą do Karpacza gdzie zostawiłem samochód. Mam nadzieję, że on nie zamarznął.

Krzysztof Tęcza